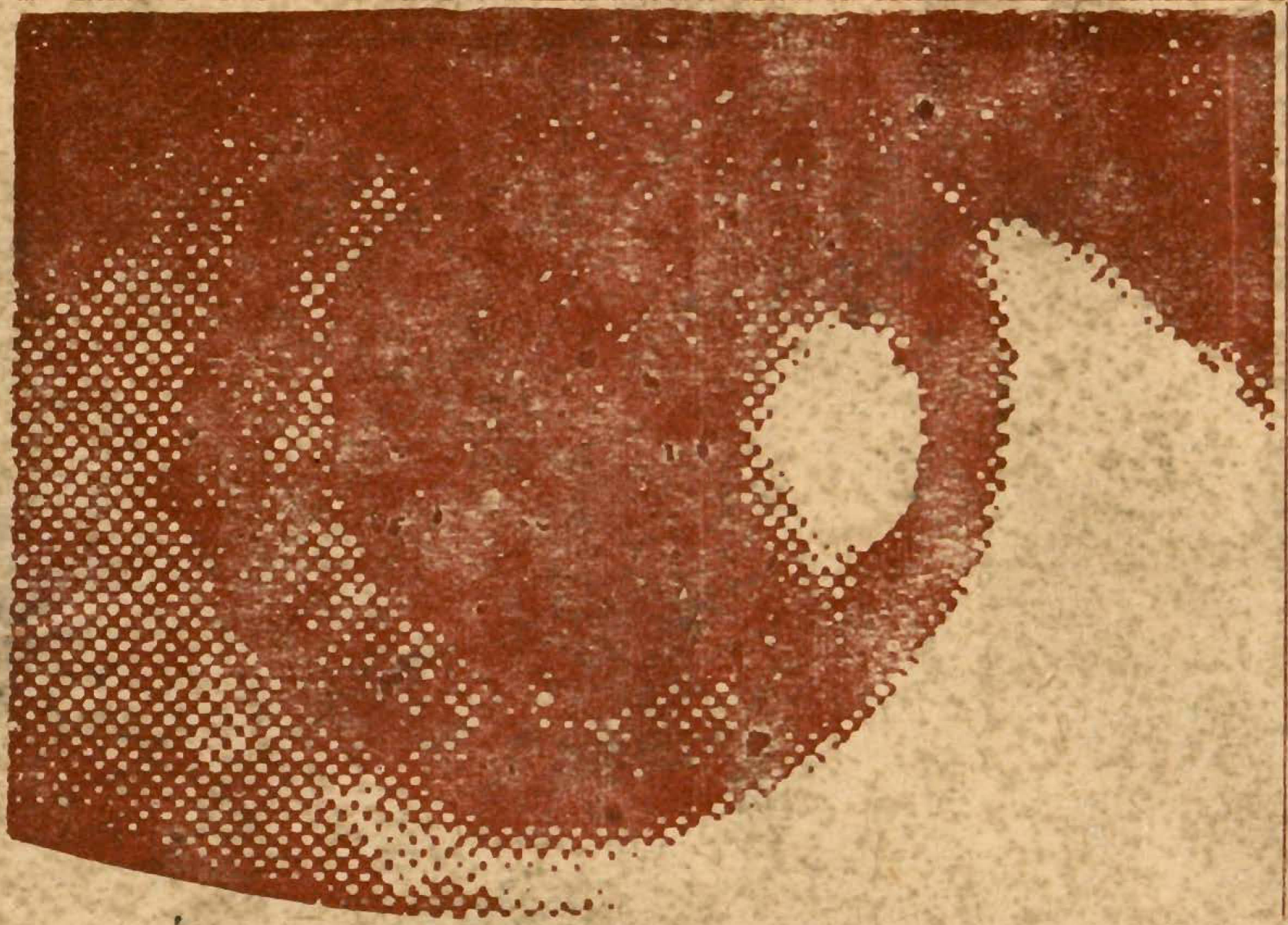

Barańczak

SZTUCZNE ODDYCHANIE

Stanisław Barańczak

SZTUCZNE ODDYCHANIE

Piotr MITZNER

MIĘDZY INNYMI

Dobrze wychowany czytelnik lub słuchacz „Sztucznego oddychania" krzywi się przy pewnych słowach i, choć jest przeciwnikiem cenzury, jednak to i owo by usunął.

To, co mówi Barańczak wydaje mu się „w zasadzie słuszne", ale w szczegółach nietaktowne, niesmaczne, nawet nieprawdziwe. Kto tu zabija poetów? Kolczaste zasieki nie przecinają t e g o świata. Jeśli rzeczywiście dzieje się t u zło, t o jakoś bardziej skrycie. Tak wprost pisać? — zżyma się ów czytelnik. Tak mówić o tym, co boli? Znów wraca się do przerwanej dyskusji z Salonu Warszawskiego i znów ktoś pyta: „Wieleż lat czekać trzeba, nim się przedmiot świeży/jak figa ucukruje, jak tytuń uleży?"

Co każe Barańczakowi tak ostro widzieć t e n świat, skoro t u „jeszcze nie jest tak źle?"

Poeta jest galernikiem prawdy. Nie rezygnuje z tego przywiązania, choćby miało mu ono zgotować udrękę. Choćby miał płynąć pod prąd, albo wiosłować po piachu. Jeżeli coś zostało przemilczane, on to powie. Jeśli coś zostało zakłamane, on weźmie się do

odkłamywania tego. Nie jest to tylko jakiś maksymalizm literacki. Po pierwsze — dla niego to zaledwie program minimum (stąd jego ciągle wyrzuty sumienia, że o czymś zapomniał). Po drugie jest to program nie tylko literacki (choć słowo jest bronią, którą najskuteczniej umie władać). Chodzi mu o minimum — o to, żeby mógł pisać prawdę.

Pisać. Ale, jeżeli będzie rzeczywiście potrzebny ludziom jako człowiek, to pójdzie z nimi. Z konsekwencji. Z poczucia solidarności z innymi, „którzy są tacy jak ty". Przecież to, co zdarza się gdziekolwiek na świecie, zdarza się t u i nas dotyczy.

Po takim doświadczeniu bycia między innymi poeta ma prawo mówić pewne prawdy. Te proste i te gorzkie. Będzie to gorycz Eklezjasty, która jest czymś innym niż zgaga. O tym niektórzy zdają się zapominać. Vide różnice między Barańczakiem i Bryllem.

Poeta nie czuje się jednak kimś nadzwyczajnym. Bohater „Sztucznego oddychania" też jest tym, którego zwykło się nazywać „szarym człowiekiem". Jego uwarunkowania, jego winy są też nasze — powszechne i zwykłe. N. N. to każdy z nas. Każdy

Każdy. To, jak pamiętamy, imię bohatera średnio-

wiecznego moralitetu. Jego akcja rozpoczyna się w momencie, gdy do pogrążonego w grzechach Każdego przychodzi Śmierć i mówi: „Szaleńcem byłeś, Każdy, żyjąc tak, choć wiedziałeś, że ja przychodzę". W „Sztucznym oddychaniu" o śmierci bohatera mówi się tylko w kontekście jego zaniechanego samobójstwa, ale perspektywa samobójstwa istnieje w poemacie przez cały czas. Tylko z tej perspektywy widać bezsens, nędzę, upodlenie i podłość we właściwych proporcjach. I z tej perspektywy światła nad N.N. promień jakby łaski spoza grubej kurtyny nocy. A zza waty słów, zza powikłanej składni, która odpowiada powikłanej psychice, dźwięczą te słowa, które są: „tak, tak, nie, nie".

Czując się bezpiecznie, zjednoczeni w człowieczeństwie, współwinni, zbratani i zrównani z autorem i jego bohaterem, nagle uświadamiamy sobie, że jest jednak coś, co nas różni. To świadomość. Barańczak należy do tych, którzy bardzo wcześnie wiedzieli co się święci. A ci, którzy nieśli transparenty, dawali się karmić słodką watą na festynach, za przewodniczącym obrad powtarzali: „nie widzę, nie słyszę" — czy żyli źle? Tak, choć mimo woli. A ci, którzy ścigali egzemplarze „Sztucznego oddychania"?

A Barańczak? Skąd wiedział, że nadciągają chmury, skoro jeszcze było wyględnie jasno? Zauważamy, jak wcześnie powstało „Sztuczne oddychanie": między 22 lipca 1971 roku i 1 maja 1974 roku. Między świętami — — tymi naszymi nieświętymi świętami.

Zastanawiając się nad „kryzysem", w którym znalazł się kraj, gotowi jesteśmy na serio szukać błędów w polityce drugiej połowy lat siedemdziesiątych, po zmianach Konstytucji, po Radomiu. Szukamy winnych, konkretnych przestępców, którzy za wypaczenia odpowiadali, którzy się za tym wszystkim kryli.

Tymczasem Barańczak już bardzo wcześnie pokazał źródło zarazy. W nas samych. W naszym przyzwoleniu. Za tym wszystkim „my sami się kryjemy" — pisał w wierszu „Co jest grane?".

Z tego samego wnętrza, które jest piękne i zdradliwe, wybuchł sierpniowy bunt. I to wnętrze, nie kontrolowane, może nas jeszcze nie raz zaskoczyć.

Barańczak wierzy w wielką siłę jednostki ludzkiej. To jakby anty — Majakowski. Uczyliśmy się na pamięć w szkole: „Jednostka! Co komu po niej?!" Barańczak broni właśnie tej jednostki. Nie z litości nad prześladowanym, udręczonym człowiekiem. Z wiary w jego ukryte, stłamszone możliwości, w siłę

jednostkowych czynów, jednostkowych aktów odnowy, które, gdy się zsumują, mogą przesunąć niejedną górę.

Ta poezja uczy nas, że aby poznać prawdę, nie trzeba słuchać Wolnej Europy. Wystarczy wsłuchać się w siebie. I w głosy zza ścian, między którymi przyszło nam żyć.

(Artykuł napisany specjalnie do tego programu)

POETA

STANISŁAW BARAŃCZAK urodził się w 1946 roku w Poznaniu, gdzie ukończył filologię polską na Uniwersytecie im. A. Mickiewicza. Debiutował jako poeta w 1965 roku. Współredagował miesięcznik „Nurt" i czasopismo „Orientacje". Pracował w Zakładzie Teorii Literatury Instytutu Filologii Polskiej na Uniwersytecie w Poznaniu. W 1973 roku otrzymał stopień doktorski. Od czasu protestów przeciw zmianom w Konstytucji (początek 1976 roku) nie drukowany w wydawnictwach oficjalnych. Współzałożyciel Komitetu Obrony Robotników i niezależnego czasopisma „Zapis".

Od jesieni 1980 roku wznowił działalność uniwersytecką i jako poeta powrócił na łamy prasy.

Wydał:

Poezje:

„Korekta twarzy", Poznań 1968.

„Jednym tchem", Warszawa 1970. Inscenizacje w Teatrze Ósmego Dnia, Poznań 1971.

„Dziennik poranny", Poznań 1972.

„Ja wiem, że to niesłuszne. Wiersze z lat 1975—76".

„Sztuczne oddychanie", Londyn 1978, Kraków 1980.

„Tryptyk z betonu, zmęczenia i śniegu", Kraków 1980.

Eseje:

„Nieufni i zadumani. Romantyzm i klasycyzm w młodej poezji polskiej lat sześćdziesiątych", Wrocław 1971.

„Ironia i harmonia. Szkice o najnowszej literaturze polskiej", Warszawa 1973.

„Język poetycki Mirona Białoszewskiego", Wrocław 1974.

„Etyka i poetyka. Szkice 1970—78".

„Knebel i słowo", Warszawa 1980.

W rozproszonych szkicach zajmuje się problemami kultury masowej. Ponadto tłumaczył wiersze Reinera Marii Rilkego, Osipa Mandelsztama, Josifa Brodskiego, Dylana Thomasa, E.E. Cummingsa i innych.

KOMPOZYTOR

JAN KRZYSZTOF KELUS urodził się w 1942 roku. Studiował prawo i socjologię na Uniwersytecie Warszawskim. Ukończył socjologię w 1967 r. W 1969/70 więziony w związku z tak zwaną „sprawą taterników". W 1970 usunięty z Polskiej Akademii Nauk. Pracował jako socjolog w Akademii Medycznej. Usunięty z pracy w 1979 roku. Uzyskał stopień doktorski.

Jego prace naukowe były publikowane w czasopismach publicystycznych na zachodzie. Od 1979 roku prywatnie nagrywał kasety ze swoimi piosenkami do słów własnych i Barańczaka, które śpiewał też w mieszkaniach prywatnych. Utrzymuje się z wykonywania piosenek i zbierania szyszek sosnowych.

Wraz z żoną prowadzi hodowlę pszczół.

RYSZARD KRYNICKI

WIERZĘ

Annie i Stanisławowi Barańczakom

Powiem prawdę: czasami wierzę
w istnienie tamtego świata, wierzę w zjawy,
wampiry, wysysające mózgi i krew, –
zresztą, może nawet bardziej się boję, niż wierzę
(co na jedno wychodzi w naszych czasach: bać się —
wierzyć).
Staram się wtedy nie siadać plecami do drzwi,
drzwi żyją własnym życiem, powiem więcej:
stałem się przesądny, już nie mówię głośno o swych
marzeniach,
nadziejach, aby ich nie spłoszyć, unikam
wypowiadania słów, które potrafią się zemścić,
wykreślam je ze starych wierszy (zresztą
nie tylko ja), nie ukrywam jednak,
że czasami zapominam o środkach ostrożności,
piję wódkę, kocham kobietę, udaję się w podróż,
myślę telepatycznie, odwracam plecami do drzwi,
które żyją własnym życiem

TEATR

IM. CYPRIANA NORWIDA W JELENIEJ GÓRZE

Odznaczony Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski

Dyrektor — ALINA OBIDNIAK
Z-ca Dyrektora — MIROSŁAW SIENKIEWICZ
Kierownik Literacki — JANUSZ DEGLER
STANISŁAW BARAŃCZAK

SZTUCZNE ODDYCHANIE

Scenariusz i reżyseria
JACEK ZEMBRZUSKI

Muzyka
JAN KELUS

BOGDAN DOMINIK

Kierownik muzyczny
BOGDAN DOMINIK

PRAPREMIERA 13 WRZESIEŃ 1981 ROK, XXXVII SEZON
(pierwsza premiera sezonu) 1981/82

O S O B Y :

N. N.	—	Andrzej NOWAK
Narrator	—	Edward KALISZ
Niestrudzona	—	Józefa ZAJĄC
Mścicielka	—	Renata JASIŃSKA
Wroga	—	Marta ŁĄCKA

Asystent reżysera — Andrzej NOWAK

Spektakl bez przerwy

Sufler
KRYSTYNA KOZAK

Inspicjent
EWA SOBIECH

Kierownik techniczny
JAN CIRUT

Kierownik sceny
MIECZYSŁAW KULCZYK

Brygadier sceny
ROMAN MINKIEWICZ

Rekwizytor
STANISŁAW NOWOSIELSKI

Światło
ADAM JANUSZKIEWICZ

Kierownicy pracowni:
JERZY OFMAŃSKI

krawieckiej
BRONISŁAW LASZCZYK

perukarskiej
GENOWEFA BIEL

stolarskiej
ZDZISŁAW OGÓREK

malarskiej
HENRYK OLESZKIEWICZ

tapicerskiej
ANDRZEJ MICHALSKI

akustycznej
ANDRZEJ SOBOLEWSKI

elektrotechnicznej
WALERIAN STOLARCZYK

i prędzej czy później się otworzą,
i prędzej czy później dotknie mnie
ta lodowata ręka, może tylko da mi znak
a może bez ostrzeżenia zaciśnie się na moim sercu,
powiem prawdę: nie wierzę, aby to była ręka
Osipa Mandelsztama ani Georga Trakla,
ani żdnego inego poety, który, niezależnie od ludzkiej czy nieludzkiej śmierci, jaka go spotkała
ciągle jeszcze mówi do nas swoimi żywymi słowami.

BĘDĄ CI WYBACZONE

Zostaną ci wybaczone wszystkie złe uczynki,
jeśli je popełniłeś,
aby kogoś uratować.

Ja sam jestem tym,
dla kogo oślepłem na cudze cierpienia
i ogłuchłem na cudze wołania o pomoc.

Ale czy rzeczywiście ocalałeś?

Przecież jeszcze mówię, żyję.

A więc przeżycie nazywasz ocaleniem,
biedny synu śmierci?

WYDAWAŁO SIĘ

A już się wydawało, że cała Polska
nabierze wody w usta
i znowu będzie od morza do morza

JEŻELI PRZYJDZIE

Jeżeli przyjdzie mi wykrzyczeć
„Niech żyje Polska!"
w jakim będę musiał to czynić języku?

PRAWIE WSZYSTKO

jest wiek dwudziesty
idę do łóżka z gazetą,
w zasięgu ręki leżą moje okulary,
nie wiem, czy zasnę,
nie wiem, czy się obudzę
to wszystko

I NAPRAWDĘ NIE WIEDZIELIŚMY

Adamowi Michnikowi

Może byliśmy dziećmi, nie mieliśmy doświadczenia,
wiedzieliśmy tylko, że zmusza się nas do wiary
w kłamstwo
i naprawdę nie wiedzieliśmy czego chcemy,
oprócz poszanowania ludzkich praw i prawd,
kiedy zebrani na niewielkim placyku
wokół pomnika naszego wielkiego poety,
który młodość przeżył w zniewolonym kraju
a resztę życia na wygnaniu
paliliśmy papierosy i kłamliwe gazety,
paliliśmy papierosy, mimo że zatruwały nasze ciała,
paliliśmy gazety, bo zatruwały nasze umysły,
czytaliśmy konstytucję i deklarację praw człowieka
i naprawdę nie wiedzieliśmy, że prawa człowieka
mogą się okazać
sprzeczne z interesami obywatela,
i naprawdę nie wiedzieliśmy,
że tyle wozów bojowych można skierować przeciwko
bezbronnym,

przeciwko nam, którzy byliśmy jeszcze dziećmi
zbrojnymi jedynie w idee, o których nauczano nas w
szkołach
i których w tych samych szkołach nas oduczano,
zbrojnymi jedynie w idee, o których nauczano nas w
zebraliśmy,
i naprawdę nie wiedzieliśmy,
że wszystkie te idee można przekreślić
szantażującymi przemówieniami, prowokacyjnymi
artykułami
bezlitosną szarżą sytej i butnej przemocy,
zwielokrotnionym kłamstwem kłamstwa,
i naprawdę nie wiedzieliśmy, że dorośli nie uwierzą
nam
lecz zwielokrotnionemu kłamstwu, że wszystko można
przekreślić,
o wszystkim zapomnieć
i udawać, że nic się nie stało,
i naprawdę nie wiedzieliśmy, że to co potem nastąpi
przejdzie nasze najśmielsze wyobrażenia,
i naprawdę nie wiedzieliśmy, że pamięć jest wrogiem
obywatela,

i naprawdę nie wiedzieliśmy, że żyjąc tu i teraz
trzeba udawać, że żyje się gdzie indziej i w innych
czasach
i co najwyżej walczyć z umarłymi
przez żelazną kurtynę obłoków

PLANETA FANTASMAGORIA

Czesławowi Miłoszowi.

Przeżyliśmy wojnę — przeżyjemy i pokój:

co pewien czas wierzyliśmy, że okresy minione
już się nigdy nie powtórzą
i zaiste, nie powtarzały się nigdy
(lecz następowały po sobie),
bezpowrotnie odeszło dzieciństwo,
nie chciała wrócić utracona młodość
i nikt się nie rozliczał
z naszego roztrwonionego czasu.
Brakowało nam wiary
i dlatego wierzyliśmy w cokolwiek,
w każdą fałszywą walkę
ale nie wierzyliśmy w samotną walkę, bo każdy z nas
kto ją zaryzykował
musiał walczyć z żelaznymi cierniami,
z żelazną watą, która go otaczała,
pozbawiała tchu, wystawiała na pośmiewisko;
coraz trudniej nam było się poruszać,
wata kłamliwych prawd zatykała nasze uszy,
nawet małe nadzieje stawały się coraz trudniejsze
do spełnienia

a im szybciej mogliśmy pokonywać wielkie
odległości,
tym więcej czasu wymagało wzajemne porozumienie,
im dalej wybiegaliśmy w przyszłość,
tym bardziej się dłużyła droga od serca do serca,
im więcej wiedzieliśmy o życiu innych ludzi,
żywych, umarłych i nienarodzonych,
tym mniej poznawaliśmy siebie,
środki masowego spazmu
bezboleśnie nas oswajały z tragediami współczesne-
go świata,
jeszcze potrafiliśmy się martwić
o nasze domowe kwiaty i zwierzęta
ale baliśmy się nawet pomyśleć, że małe kraje
są poligonami doświadczalnymi dla wielkich
mocarstw,
głosowaliśmy — milcząco,
manifestowaliśmy jedynie wtedy swoją obecność;
kiedy nasi amatorzy wygrywali z zawodowcami,
wieżowce wtedy trzęsły się od krzyku:
zamieniały w niebotyczne barykady,
których nikt nie atakował,
bo dawno już były zdobyte.
Skąd mogliśmy wiedzieć,

że w naszych czasach żyją poeci,
o których istnieniu milczą najemne gazety;
i tak nie rozpoznawaliśmy i nienawidziliśmy słów,
skoro nawet proste słowa zaczynały kłamać.
Jeżeli byliśmy kobietami,
nasze serca zamykały się tym szczelniej,
im szerzej otwierały się nasze oczy;
jeżeli byliśmy mężczyznami,
tym bardziej opadały nam ręce,
im wyżej unosiły się nasze przyziemne marzenia,
im ściślej zamykały się wokół nas granice naszego języka,
tym bardziej nasze języki rozsadzały usta.
Tyle już razy zaczynaliśmy od podstaw,
że straciliśmy grunt pod nogami
i nie wiedzieliśmy, czy już mamy prawo
umierać za naszą niepewną wiarę,
czy przechowywać ją jak płomyk, łyk wody, kęs chleba
na najczarniejszą godzinę

.....

.....

.....

żeby niewolnicy nie dążyli za wszelką cenę do władzy,
żeby władza panowała wyłącznie nad sobą,
żeby sędziowie już raczej byli omylni, niż sprzedajni,
żeby oskarżyciele byli zdolni do wszystkiego,
żeby policja się zajęła ujawnianiem własnych zbrodni,
żeby włamywacze tylko do siebie się włamywali
żeby cenzorzy poskreślali się doszczętnie,
żeby donosiciele samych siebie zasypali donosami,
żeby celnicy jedynie sobie wzajemnie zaglądali do tyłków,
żeby strażnicy wybudowali swoje wymarzone więzienie,
i zamknąwszy się w nim, co do jednego, od środka,
klucz wyrzucili do morza

Wiersze Ryszarda Krynickiego z tomu: „Nasze Życie Rośnie".

Redakcja programu

URSZULA PROKOP

CENA 10 ZŁ

SCENA STUDYJNA
ZAPRASZA

DZG JG 1506-2-01592/81 500 12×12×2 S-22